

TADEUSZ RACHWAŁ
Katowice

GENOLOGICZNE KONTEKSTY; CZYLI NARODZINY NIE-GATUNKU

Man gave names to all the animals
(Bob Dylan, *Slow Train Coming*)

... pierwotne związki ludzi z naturą zastępuje teraz nauka, która, jako się później przekonamy, nauką nie jest. Nauka, umiejętność – wielkie słowo! Życie w ogóle wszystkich razem stworzeń zaczyna powoli ustawać. A pole naszych empirycznych wiadomości jest na kształt ogrodu zasianego pożytecznymi warzywami; piękniejsze, spanialsze kwiaty w tym kuchennym ogrodzie zdają się być spod obcego nieba przeniesione i w roślinnej hodowli ciepłoty. Licho się krzewią.

(Maurycy Mochnacki, *O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym*)

Ogłoszona w latach siedemdziesiątych przez Rolanda Barthesa śmierć Autora stanowiła, być może, jeden z początków śmierci literatury, która, pogrążywszy się w intertekstualności, zatraciła wszelkie cechy gatunkowe, łącząc się z wyznaczającym ją kiedyś przed-ponowoczesnym kontekstem. O ile, w dużym uproszczeniu, w myśleniu bardziej tradycyjnym o możliwości zaistnienia gatunku stanowi jego dekontekstualizacja w sensie wyodrębnienia z kontekstu na zasadzie jego marginalizacji, dyskurs poststrukturalistyczny stanowi próbę uwypuklenia roli kontekstu jako „konstruktywnego zewnątrz”, które przenika, czy też „wpisane jest”, w samą możliwość powstania gatunku. Postmodernizm także dokonuje dekontekstualizacji, lecz niejako na odwrót, poprzez marginalizację wnętrza i zatarcie granic pomiędzy wnętrzem i zewnątrz, stwarzając w tenże sposób pewną czarną dziurę, o której charakterze raczej trudno jest coś konkretnego powiedzieć. Stąd też niechęć postmodernizmu do określenia swej gatunkowości, do wszelkich pytań „czym jest?” nie tylko on sam, lecz także cokolwiek innego. Lyotard określa wpraw-

dzie postmodernizm, lecz niezbyt klarownie. Porównuje go do embriona *in statu nascendi* w łonie nowoczesności, który to stan określa jako stały, odmawiając mu w ten sposób gatunkowej tożsamości, a tym samym możliwości ujęcia w ramy jakiejkolwiek teorii. Postmodernizm, założmy, być może na początek (choć jak wiadomo i z tym pojęciem nie wszystko jest zbyt pewne), stanowi zakwestionowanie teorii. Cóż to może znaczyć?

Teoria i życie, zdaniem Terry Eagletona, nie są sobie biegunowo przeciwne. Nawet tak proste stwierdzenia jak „to jest kufel piwa” możliwe są jedynie przy założeniu, że przedmiot, o którym mowa, ulegnie stłuczeniu spadając z barowej lady raczej niżli wypuści mały, kolorowy spadochronik, bowiem w tym drugim przypadku musielibyśmy stwierdzenie nasze poddać rewizji. Teoria spleta się z życiem dlatego, że używamy znaków, co oczywiście odróżnia nas od zwierząt i skąd czerpiemy pewność, że wiewiórki nie zajmują się potajemnie konstrukcją bomby atomowej. Wiewiórki, w przeciwieństwie do nas, nie teoretyzują swych znaków, nie transformują swych dokonań w przedmioty i czyny tworzące, najogólniej, historię. Teoria stabilizuje użycie znaków i, jak język, stanowi czynność wykonywaną przez nas w zasadzie przez cały czas. W tym też sensie, jako czynnik stabilizujący, teoria, nawet najbardziej rewolucyjna, jest zawsze konserwatywna.

Sytuacja kryzysowa następuje wtedy, gdy teoretyczne czynności same stają się przedmiotem refleksji. O ile kiedyś, powiada Eagleton, rzucaliśmy sobie po prostu różne przedmioty na ziemię, teraz fizycy mówią nam o prawie grawitacji, a filozofowie wątpią, czy w ogóle są jakieś przedmioty do zrzucania. Inaczej mówiąc, teoria obiektywizuje nasze działania, kategoryzuje i stabilizuje coraz to większe obszary aktywności, lecz nie może uczynić tego bez uświadomienia nam tego, co robimy, skutkiem czego dochodzi do pewnej destabilizacji. Zobiektywizowanie jakiegoś działania samo, wraz z teorią, może stać się przedmiotem konstatacji, może stać się częścią szeroko pojętej historii, stanowiącej przedmiot teoretyzowania. Teoria teorii, metateoria, sama staje się pewnym wydarzeniem historycznym i jest absorbowana przez stanowiącą przedmiot teorii historię, prowadząc do sytuacji, w której teoria stara się pochwycić za ogon starającą się ją pochwycić za ogon historię. Zatrzymanie tego procesu możliwe jest tylko poprzez dotarcie do Teorii Teorii, do Ostatecznej Globalnej Teorii, której jedynym mankamentem jest to, iż jest ona niemożliwa¹.

¹ Zob. Terry Eagleton, *The Significance of Theory*, Blackwell: Oxford 1990, s. 25-29.

Postmodernizm kwestionuje teorię nie tyleż twierdząc, że jej nie ma, ileż stale widząc jej działanie, widząc historię, na przykład, poprzez teorię, widząc fakty i kategorie poprzez proces ich kulturowego, a więc teoretycznego wytwarzania, retorycznego częstokroć przekształcania. Nie mówi więc o gatunkach, na przykład, lecz, jak Derrida, o prawie prawa gatunku, spoglądając na słowa i rzeczy z pozycji nie-gatunku, z pozycji kontekstu, który jeszcze nie przerodził się w gatunek.

Zacznijmy może, w kontekście genologii, od gatunkowości literatury. Zastanawiając się nad związkiem pojęć „chwast” i „literatura”, tenże Terry Eagleton, choć w innej książce, stwierdza, iż obydwa pojęcia mają charakter funkcjonalny raczej niż ontologiczny, dotyczą tego „co robimy” i nie określają żadnej niezmienniej rzeczywistości, niezmiennego istnienia rzeczy (*the fixed being of things*). Chwast, z punktu widzenia ogrodnika, nie musi być żadnym konkretnym, znanym mu gatunkiem roślinnym, lecz jakimkolwiek zielskiem, którego z jakichś powodów ogrodnik pragnie się pozbyć. Literatura, zdaniem Eagletona, określona może być odwrotnie, jako jakikolwiek rodzaj tekstu, któremu z jakiegoś powodu przydano wartości, umieszczono w rzędzie roślin wartościowych, płodów wartych kultuwacji. Książka Eagletona nosi tytuł *Literary Theory*, a jedna z jej konkluzji zagraża sensowności pracy tradycyjnego genologa, gdyż stawia w wątpliwość tożsamość literatury w ogóle;

Literatura, w sensie zbioru dzieł o uznanej i niezmienniej wartości i posiadających szereg wspólnych im, inherentnych właściwości, nie istnieje. Używając słów „literacki” i „literatura” ... umieszczam je pod niewidocznym znakiem przekreślenia².

Literatura istnieje więc, w kontekście odrzuconych chwastów, jako pewien ogród książek, przynależność do którego nie jest niezmienna i zależy od aktualnych potrzeb gospodarza ogrodu, który, zależnie od potrzeb, może posadzić w nim zarówno róże, jak i groch i kapustę. Trudno powiedzieć, kto jest ogrodu tego gospodarzem, kto zdecydował o potrzebie jego powstania. Trudno powiedzieć po co budujemy ogrody książek.

„Budujemy ogrody, aby nie żyć na pustyni”, powiada Tomasz Brzozowski w pierwszym po długiej nieobecności trzecim numerze *Ogrodu*³. Ogród odgradza nas od pustyni i oferuje życie w miejscu „gdzie istnieje różnorodność, wielość w jedności”⁴. Na pustyni nomadycznie żyją

² Terry Eagleton, *Literary Theory. An Introduction*, Blackwell: Oxford 1983, s. 9.

³ Tomasz Brzozowski, [w:] *Jaki „Ogród”? - głosy redakcji*, „Ogród” nr 1 (3), 1993, s. 2.

⁴ Ibid., s. 2.

Beduini, w ogrodzie drzewa, jak na okładce *Ogrodu*, zakwitają różnorodną wielością ksiąg. Pustynia, tak zresztą jak i puszcza, stanowi teren niebezpieczny, na który udają się jedynie dzielni jak Staś mężczyźni, by wydobyć stamtąd pochodzącą z kraju ogrodów Nel. W kontekście pustyni, ogród jest oazą życia, metaforą harmonii, obfitości i piękna, których różnorodność, wielość w jedności przestrzeni ogrodu, obiecuje także i wolność, wolność wyboru i uwolnienie od pustyni.

Teren ogrodu jest także pustynią, choć przemienioną. Teren ogrodu wyznacza teren własności, która nabyta została poprzez zagospodarowanie pustyni. By w nim żyć, by nie żyć na pustyni, wybudować w nim musimy także dom, miasto, gród. Z ogrodowej kultury, ustanawiający osiadłą cywilizację *civitas*, będzie czerpał pokarm, tak cielesny, powiedzmy, jak i duchowy. Ogród ogradza cywilizację i zarazem odgradza ją od Beduinów, na przykład. Teraz już, po od-gro-dzeniu się od barbarzyńskiego kontekstu, można rozpocząć uprawianie polityki wewnętrznej. Brama miasta, miejsce kontaktu wnętrza i zewnątrz, zdaniem Zygmunta Baumana,

Nigdy ... nie była jedynym miejscem, gdzie spodziewano się spotkać barbarzyńców. Przeciwnie: weszono ich wszędzie, w każdym zakątku państwowo-narodowego domostwa, wypatrywano ich i dokopywano się w miejscach najbardziej niespodziewanych - jak zresztą na barbarzyńców, z definicji niesfornych, podstępnych, napadających z ukrycia, przystało. W niemało barbarzyńskich rysów wyposażono oficjalne portrety niechętnie wysiłkom, opieszalej, niezapobiegliwej, niefrasobliwej, nieodpowiedzialnej i niepozytalnej biedoty czy nieuleczalnie uczuciowych, bezmyślnych, frywolnych i lekkomyślnych kobiet⁵.

Inaczej mówiąc, nadszedł czas na odchwaszczanie. Na ogrodzie świata zasiadł Schulzowski Franciszek Józef I i stwierdziwszy czym jest świat, karczuje wszelkie przerosty i wynaturzenia jako urojenia, dzikie fantazje, uzurpację nawet. Szpargał Schulzowskiej Księgi, bez początku i końca, bez autora, papier, w który Adela pakuje kanapki dla Ojca, wydarzenia dziejące się „nieurzędowo”, nie znajdują miejsca w ogrodowym katalogu biblioteki metodologicznie (choć wielogłosowo) uporządkowanego świata. Jeżeli już, to w „nieurzędowym dodatku”, w „suplemencie”, który niezupełnie przynależąc do Księgi, wpisuje niejako możliwość przerostu w nią samą (Autentyk Schulza rozwija się i rośnie), wpisuje możliwość przekroczenia granic przez coś już na pozór ukonstytuowanego i staje się dla tego czegoś niebezpiecznym i obcym. Stąd też w ogrodzie ksiąg, co paradoksalne, niewiele jest miejsca na pismo

⁵ Zygmunt Bauman, *Ciało i przemoc w obliczu ponowoczesności*, Toruń 1995, s. 41.

(„będziemy się starać, aby forma była niewidoczna, by nie utrudniać lektury”)⁶, które jako „suplement” głosu (wielogłosowości) staje na przeszkodzie w drodze do treści, prawdy, znaczenia. Ogród jest więc także i miejscem „prawdodążności”, teleologii sedna i istoty rzeczy, którą Derrida nazywa metafizyką obecności, a której siłą jest siła cenzury kontekstu, usuwania na margines i marginalizowania marginesu jako nieistotnego (nieurzędowego) dodatku, sfery szaleństwa, amorficzności, bezcelowości, herezji nomadyczności. Margines ten może być śmietnikiem za płotem ogrodu (dla Schulza, na marginesie przedmieścia Drohobycza, na przyogrodowym śmietniku zaczyna się życie), bądź też terenem wydzielonym wewnątrz miasta, azylem, szpitalem, muzeum kuriozalnych monstrów, kobiet z brodami, hermafrodytów lub Indian, na przykład, pokazywanych w osiemnastowiecznej Anglii (powróćmy do kraju Nel), na jarmarkach jako istoty wymykające się kategoryzacji. Za pensa, w niedzielę, można było tam także pójść i popatrzeć na leżących na słomie, przykutych do ścian „szpitala” Bedlam szaleńców. Takie pozorne otwarcie sfer marginalnych dawało pewność, że sfera życia prawdziwego, sfera pewnych, niezachwianych kategorii, nie zostanie zachwaszczona bytami zagrażającymi dogmatowi jedności świata, bytami nie z tej ziemi, nie z tego ogrodu.

Kwestia odchwaszczania jest, jak sędzę, niezwykle istotna także na poletku genologicznym. Poletko to zarosło, zdaniem Stefanii Skwarczyńskiej, tak bardzo pseudogenologicznymi nazwami, iż trudno na nim dostrzec genologiczne przedmioty, owe „naturalne formy”, „indywidua o fizjonomii własnej”⁷.

Zbyt gościnnie przyjmuje genologia w swoje podwoje owe pseudonazwy genologiczne, zarówno te, które powołał do życia lekkomyślny, impresyjny stosunek do przedmiotu genologicznego, jak i czyste fikcje werbalne, kreacje najczęściej samych pisarzy⁸.

Wrota genologii należy zamknąć przed napływem nowych nieproszonych gości, a tych, którzy już tam weszli, „paramit” z „arabeską” na przykład, mniej lub bardziej grzecznie wyprosić, stwierdzając, że ich nie ma, bowiem nie posiadają swych przedmiotów, czyli rodzajowych kośćców. Praca nad rehabilitacją genologii jest, zdaniem Skwarczyńskiej,

⁶ Krzysztof Chlipalski, [w:] *Jaki „Ogród”*, s. 3.

⁷ Stefania Skwarczyńska, *Nie dostrzeżony problem podstawowy genologii*, red. Henryk Markiewicz, *Problemy teorii literatury*, Ossolineum 1987, t. 2, s. 103.

⁸ Ibid., s. III.

żmudna i trudna; wymaga wciągnięcia w nią jak najszerzych rzesz badaczy, wymaga ona także, tu wracamy do ogrodu,

... odchwaszczenia pola od tego wszystkiego, co zasiały na niej różne wadliwe i jednostronne koncepcje epoki minionej. Właśnie: odchwaszczenia, a nie prostego, lekkomyślnego przekreślenia i zaczynania pracy od nowa. ... Toteż cały dorobek przeszłości należałoby skomasować, aby móc w nim wybrać to, co cenne⁹.

W tym miejscu metafora ogrodu ksiąg musi się załamać, gdyż teoria zaczyna sięgać poza botanikę. Choć nikt dzisiaj, zdaniem Michała Głowińskiego, o naturalności gatunków *expresis verbis* nie mówi, nawet „słuszna teza o historyczności gatunków nie była w stanie przewyciężyć podskórnie istniejącego mniemania o *sui generis* ich „naturalności”¹⁰. To właśnie tu, być może, widać ślad „metateoryzacji” teorii, która, pomimo wielorakich przeniesień, nadal stara się zachować, przynajmniej retorycznie, naturalność swego przedmiotu. Pomimo swej niestałości, ciągłego struktutowania i destrukturowania, gatunek u Głowińskiego także żyje, „coś się w nim rodzi i coś chyli ku upadkowi, coś osiąga doskonałość, coś zamiera”¹¹. Jednocześnie systemowy i historyczny, jak wielość w jedności, jest gatunek pewną stałością w zmienności, strukturalnym faktem historycznym, którego destrukuralizacja stanowi *de facto* dyktowaną historyczną koniunkturą restrukturalizację pewnych elementów struktury, przy zachowaniu „pamięci gatunku”, wspomnienia gatunku o swej przeszłości¹².

Tym, co pozostanie po odchwaszczeniu genologicznego pola, powinny być takie pojęcia i przedmioty genologiczne, które ową, genetyczną niejako, pamięć gatunku faktycznie zawierają w formie form o charakterze struktur, które, jako przedmioty genologiczne, historycznie „istnieją wyłącznie w materiale literackim”, czyli w książkach. Stąd też konieczność wyjścia z ogrodu ksiąg i przejścia do badania ich w przestrzeni analitycznej pracowni jako „okazów literackich” celem obnażenia ich „rodzajowego kośćca”, „szkieletu” wyznaczającego je od wewnątrz celem dokonania adekwatnego odbicia pojęciowego i nazwania, które i tak

⁹ Stefania Skwarczyńska, *Genologia literacka w świetle zadań nauki o literaturze*, red. E. Miodońska-Brookes, A. Kulawik, M. Tatała, *Genologia polska. Wybór tekstów*, Warszawa 1983, s. 23.

¹⁰ Michał Głowiński, *Gatunek literacki i problemy poetyki historycznej*, red. Henryk Markiewicz, *Problemy teorii literatury*, Ossolineum 1987, t. 2, s. 126.

¹¹ Ibid., s. 141.

¹² Ibid., s. 140.

stale należałoby kontrolować ("... genologia powinna by systematycznie poddawać kontroli fungujące w jej obrębie pojęcia genologiczne"¹³.) Każdy utwór literacki nadbudowany jest wokół kośćca rodzajowego (jednego lub więcej), który to kościec, raczej niżli kontekst dzieła, czy książki, stanowi obiekt genologicznego zainteresowania. Stąd też problem rodzaju samego rodzaju, który, jako genologiczny przedmiot, istnieje jeszcze przed jego konceptualizacją, przemianą w pojęcie. Inaczej mówiąc, o ile gatunki i odmiany wywodzą się od rodzaju, powstaje kwestia genezy rodzaju, która oczywiście sprowadza się do nieuniknionego poszukiwania początków, na które, zdaniem Baudrillarda, ludzkość zwróciła swą uwagę dlatego, iż nie była w stanie rozwiązać kwestii końca. Kwestia końca, skończoności, jest po prostu nierozwiązywalna. Koniec jest bowiem zawsze iluzoryczny, jest iluzją końca możliwą do zaakceptowania jedynie w świecie, w którym iluzoryczność posiada status ontologiczny¹⁴. Owa iluzoryczność końca przesłania pewność początku, która, przeniesiona na grunt historyczny, wprowadza możliwość nieskończonego odradzania się i przeradzania form, możliwość nieskończoności życia jako procesu teoretycznego niezależnie od uczestniczących w nim, obumierających od czasu do czasu gatunków.

Rodzajowy szkielet genologiczny, w przypadku teorii Skwarczyńskiej, rodzi się z „żywiotu rodzajowego”, która to kategoria sięga jednak głęboko w życie biologiczne. Początkowo jest to sytuacja, z której „wyrasta epika, liryka, dramat”, po czym przeradza się w embriona „rodzaju literackiego, jakim jest najelementarniejszy wyraz słowny wynikający jako konieczność z pewnych sytuacji”¹⁵. Wyraz bólu i radości, „prosty jęk żalu, jest embrionem dla ich literacko pełnych form rodzajowych jak elegia, tren”¹⁶. Inaczej mówiąc, poprzez mowę, poprzez powstanie jakiegokolwiek znaku, rodzi się rodzaj, literacki lub też nie. W tenże sposób gatunkowość w ogóle, tak jak teoria Eagletona, zostaje przypisana wszelkim czynnościom semiotycznym, czy też nawet reakcjom naturalnym, takim jak na przykład jak okrzyk. W takim ujęciu biblijne nadanie nazw zwierzętom przez Adama, jako pierwszy „wyraz embrionalny”, jest wyrazem praistnienia formy rodzajowej „rodzaj”, wyrażającej naturalną

¹³ Stefania Skwarczyńska, *Nie dostrzeżony problem podstawowy genologii*, s. 109.

¹⁴ Zob. Jean Baudrillard, *L'illusion de la fin*. Éditions Galilée 1994, s. 90-97.

¹⁵ Stefania Skwarczyńska, *Geneza i rozwój rodzajów literackich*, red. E. Miodońska-Brookes, A. Kulawik, M. Tatara, *Genologia polska. Wybór tekstów*, Warszawa 1983, s. 57.

¹⁶ *Ibid.*, s. 58.

konieczność klasyfikowania, a z której, być może, wywodzi się późniejszy gatunek „genologia”.

Stefania Skwarczyńska, podobnie jak Głowiński, zastrzega się, że mówiąc o życiu gatunku, mówi o nim w cudzysłowie skutkiem analogicznego przeniesienia tego pojęcia na badania literackie przez nauki przyrodnicze i socjologię¹⁷. Mówi więc w cudzysłowie o „szkieletach”, „embrionach”, „chwastach”, lecz być może także o „rodzajach” i „gatunkach”, które także są z tych nauk, czy też dyskursów, przeniesione. Jednakże nauki przyrodnicze również posiadają swe genologie i teorie, używają pojęć i nazw, poszukują początków, w które zawsze już wpisany być musi pewien teoretyczny cudzysłów, oddzielający dyskurs od tego, o czym może on wypowiedzieć się jedynie retorycznie, postulując w ten sposób tego czegoś pozadyskusywne istnienie.

Lyotardowski embrion ponowoczesności w stanie stałych narodzin nie obiecuje narodzin jakiegokolwiek rodzaju czy gatunku. Nigdy się on prawdopodobnie nie narodzi, nie oddzieli, nie zinstytucjonalizuje jako przedstawiciel gatunku, jako „egzemplarz”. Pławi się on w wodach płodowych nowoczesności, której zdyscyplinowane, robotniczo-żołnierskie, a przede wszystkim zdrowe ciało, jak określa je Bauman¹⁸, postrzega w nim oczywiście płód niechciany, nie-narodziny nie-gatunku, które od wewnątrz niejako wpisują się w jej dyscypliny i podziały. Najprościej byłoby oczywiście ponowoczesność w końcu urodzić, wydobyć na świat i pokazać ją jako monstrum, bądź też jako nowy jakiś gatunek, celem dokonania legitymizacji owego ładotwórczego wysiłku, który nie ma kresu, bowiem tworząc ład, przekształca tereny poza ogrodem w nieużytki, rośliny w chwasty, budując, prócz ogrodów, „zapas terenów do inwazji [który] nigdy się nie wyczerpie”¹⁹. Co ciekawe, Skwarczyńska także mówi o olbrzymiej fali rodzajów w „wieczystym *status nascendi*”. Jest to stan, z którego rodzą się nowe możliwości rodzajowe, kształty rozwinięte w pełni jak również „kształty półrozwinęte”. Zarazem jednak istnieją sytuacje, „w których właściwe im wypowiedzenie pozostało nadal w łonie życia, nie okazało prężności ku rodzajowym usamodzielnieniom i te nie interesują poetyki i teorii literatury”²⁰. Być może o

¹⁷ Zob., *ibid.*, s. 49.

¹⁸ Zygmunt Bauman, *Ciało i przemoc w obliczu ponowoczesności*, Toruń 1995, s. 49.

¹⁹ *Ibid.*, s. 35.

²⁰ Stefania Skwarczyńska, *Geneza i rozwój rodzajów literackich*, s. 62.

tych właśnie rodzajowo niesamodzielnych sytuacjach, o zmarginalizowanych kontekstach niezbyt interesujących dla „modernistycznego ciała”, mówi nam ponowoczesna metafora Lyotarda?

CONTEXTS OF GENRE STUDIES; OR THE BIRTH OF A NON-GENRE

(Summary)

The paper is a study of the role of context as determinant agent of genre formation in postmodernist discourse. Postmodernism, by way of foregrounding the epistemological role of context, undermines the possibility of genre classification and thus, as is well known, has some problems determining its own genre. Comparing postmodernism to an embryo in constant nascent state, Lyotard announces a paradoxical birth of a "non-genre" whose birth cannot be finalized, thus also undermining the foundations of any genre studies.